№ 2.

WARSZAWA

d. 1 (13) stycznia

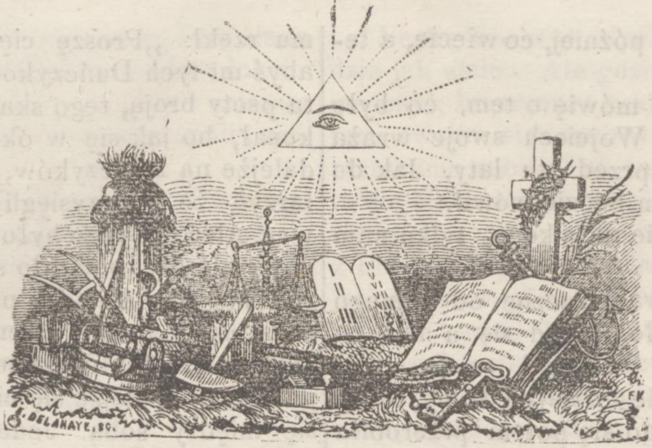
1861.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prawdziwa modlitwa leży nie w słowach, które wymawiają usta nasze, ale w intencyi serca naszego. Nie słowa to, ale uczucia nasze są owemi potężnemi głosami, które się przedzierają do stóp Najwyższego. (Śty Grzegorz Wielki).

Piosnka przy kądzieli.

—

Oj słota na dworze, wiatr wieje, śnieg pruszy,
Choć na świecie smutno, mnie wesoło w duszy.
Czegóż się mam smucić? młode moje lata
Czy wiosną, czy w zimie śmieją się do świata:
W lecie dzionek w polu, odpoczynek w chłodzie,
Jagódki wśród boru, wisienki w ogrodzie;
Ku jesieni żniwa, uciecha nie mała:
Byłam przodownicą, wstążeczkęm dostała.
Na długie wieczory narzekają panie,
A ja się tam nigdy nie uskarżę na nie;
Łuczywo się jasno pali na kominie,
Kądziołka się przędzie i wieczór upłynie.
Dziewczęta, chłopaki, zasiędą wokoło,
Gwar, śmiechy, żarciki, oj! wtedy wesoło!
Stary siwy dziaduś dawne dzieje prawi,
Czasem trochę zrzędzi, czasem bajką bawi;
Przy swojej robocie, każdy gadkę powie,
Lepiej się tu bawim, jak w mieście panowie.
Oni tam szukają lekarstwa na nudy,
Nam wesołość słodzi i biedę i trudy.
Ot, słyszę, już idzie wesoła gromada;
Poprzątnę izdebkę, będę gościom rada,
Poprzysuwam ławy, dorzucę łuczywa...
Idzie i mój Janek, co tak ładnie śpiewa.
Oj! będzie nam śpiewał piosenki ochocze...
A jutro niedziela... oberka wyskoczę!

Gawędy ludowe.

(w niedzielę po nieszporach pod sołtysową chałupą).

I.

—

Józef. Nie przeszkadzajcież Wojciechu Stanisławowi, bo oni przecie muszą lepiej z książek wiedzieć, jak my prostactwo.

Wojciech. Oni wiedzą z książek, a ja dokumentniej wiem od mego dziadka, co mu było sto lat jeno bez dwóch, a pamiętał jeszcze, jak było powietrze w Krakowie, co ludzie umierali po kilkaset na dzień.

Józef. To powiecie później, co wiecie, a teraz niech oni gadają.

Stanisław. Ja wam mówię o tem, co było przed tysiącem lat, a Wojciech swoje wraża z tego, co się działo przed stu laty. Jak do tego przyjdzie, to i on będzie mówił.

Piotr. Nie zważajcie na nikogo, tylko nam opowiadajcie.

Stanisław. Więc wam zacznę od samego początku, jak co było, i zkąd się u nas co wzięło. Najprzód był taki kraj, co się zwał Lechicki, i tu też gdzie dzisiaj siedzimy, to się tak zwał. Owóż z tego się potem przerobiła Polska. Piszą w książce, że lat temu 1310 pierwszy książe zwał się Lech, ale powiadał pan profesor, że to bajki, a ja zaś powiadam, że nie bajki, boby sobie tego nikt z palca wyssał. Tenże Lech, miał dwóch braci i tak do nich prawi: „Moi kochani braciszkowie, czegóż mamy na kupie siedzieć i jeden drugiemu w garnek zaglądać, kiedy świat szeroki i długi? Rozdzielmy się tą ziemią Słowacką i Chrowacką, a każdy będzie miał chleba do nosa. Jeden niech idzie na południe i zachód, a drugi na północ, a ja tu już sam wśrodku zostanę i będę biédę klepał jak można.“ Otóż oni do niego tak znowu rzekli: „Byłoby i tak dobrze i usłuchaliśmy cię, jako starszego brata, ale damy sobie to radę sami na tyle gruntu?“ A Lech na to: „Nie bójcie się, bo więcej będzie Słowian na świecie, jak piasku w morzu, a gwiazd na niebie, to będzie komu pole odrobić.“ I tak się pięknie ucałowali i pożegnali, a rozeszli się w trzy strony. Dopiero Lech chodzi sobie po swojej własności, jako pan i gospodarz, a tu wrony kraczą, a kraczą i na jednem miejscu krążą. Myśli sobie: coby one tu miały te wrońska? patrzy, a tu gniazdo białych orląt porosłych w srebrne pióra. Ucieszył się i zabrał owe orlęta do domu i chował, aż urosły i takie były mocne, że jak złapały jakie bądź zwierzę w szpony, tak i zdusiły. Otóż powiada sobie: niechże mój naród tak jak owe orlęta będzie, zawsze biały i czysty a mocny. I ztąd nadał swojemu państwu w herbie, czy na tablicy białego orła, a wtem miejscu, gdzie gniazdo znalazł, piękne miasto wystawił i przezwał je Gniezno, (to jest teraz w Księstwie Poznańskiem).

Ten Lech panował sto lat okładem i zostawił syna Wizimierza, a umierając, tak mu rzekł: „Proszę cię mój synu kochany, abyś mi tych Duńczyków na morzu, co nam tu psoty broją, tęgo skarcił.“ Co też syn dokonał, bo jak się w okręty ufundował, tak dalejże na Duńczyków, i tak im skórę wytatarzył, że odprzysięgli się naszych napastować. Aleć niedługo było tej parady, bo Lechy powymierały, potérało się to na wojnach i naród nie miał żadnego pana. Dopiero zwołali radę, jak to i u nas zbiera się gromada, a wybrali do rządu dwunastu starszych, niby wojewodów. Dalejże się ci wojewodowie kłócić się między sobą. Jeden chciał tak, drugi inak, więc naród powiedział, iż tego dłużej nie ścierpi i jednego sobie z pomiędzy nich na rządcę wybierze. Każdy się nadstawiał, ale nic nie pomogło, bo wszystkich odprawili, a wybrali sobie z tych dwunastu jednego zucha, co mu było Krakus. O tym to jest co opowiadać, aż mrowie przechodzi! Jak został Krakus rządcą, tak zaraz wszystko wporządek wprowadził; ktoby mu chciał w kaszę dmuchać, to go w łeb. I tak Gallów, co mu się w jego sprawy wrażali, przetrzepał. Ale mówi: „Co mi to za stolica Gniezno? i na piaskach i na okrajku, do niczego. Ja tu dopiero sfunduję, co wieki mnie wspomną.“ Więc zaczął nad Wisłą Kraków budować, i jak spędził majstrów, a ludzi nagnał, tak i wystawił śliczności miasto, a na skale, co się zwała Wawel, dla siebie mieszkanie ufundował. Ale cóż się stało? Pod jego zamkiem na Wawelu była straszna jama, co aż do samego piekła ma dochodzić, i w tej jamie siedział czarny smok. Owa bestyja, czy to chłopa czy dziewkę odrazu pożarł, a najbardziej ludzkie mięso lubił. Strzelali do niego strzałami, bo harmat nie mieli, ale gdzie tam!.. ani się go żelazo nie jęło. Krakus raz chciał go sam dzidą zażgać, ale mu naród nie dał ze smokiem wojować, bo taka poczwara to i na książęcia nie zważa; więc się znalazł taki mądry, co radził sztukę. Wzięli barana tłustego, wyjęli z niego kiszki, a nakładli w niego pełno siarki, dopiero zapalili w baranie tę siarkę i rzucili przed jamę. Owóż smok zdrady się nie spodziewał, a jeno harknął, a całego barana połknął. Więc moi ludzie, jak się owa siarka zaczęła palić, tak smoczysko zdechło, i wyciągnęli go linami z jamy, to miał 50 łokci kadłuba, a 150 łokci ogona,

i łeb miał taki, żeby się w paszczę fura siana zmieściła, i pazury miał jakby na dwa łokcie. Dopiero też był Krakus uspokojony i ucieszony, a lud cały kontent i wszyscy spali spokojnie.

Józef. Oj moiściewy! Widzicie, taka bestyja! Onby był cały naród wydusił. I zkąd się to takie wzięło?.. Może z onego piekła wylazło jamą na świat?

Wojciech. Teraz dziękować Bogu, nie ma takiego zwierza! Co wilki i lisy, to są u nas, ale porwie kurę albo kaczkę, to pal cię tam licho!

Józef. A wybyście się teżto o waszą babę bali, bo macie młodą.

Onufry, A boby też szkoda było ich baby. Ale dzisiaj nie bójcie się, jakby do smoka z armat wypalili, toby mu wnet poradził.

Józef. A nie prawda, bo jak jest bestyja z piekła, to go się kula nie chwyci, tylkoby trzeba pierwej kulę poświęcać.

Onufry. To tam o to łatwiej, bo lada ksiądz poświęci, co jest mszalny.

Józef. Ale niechże Stanisław dalej opowiadają.

Stanisław. Otoż jak Krakus porządek jak się patrzy zrobił, więc potem i wkrótce umarł. Dopiero naród niewiele myślący, tak sobie mówi: „Kiedy ten nasz książe za życia tyle dobrego dla nas uczynił, trzeba mu też po śmierci grzeczność wyświadczyć i sfundować mu grób na wieczność, coby go widać było o sto mil naokoło. Dopiero zrobili mu ze skały trumnę, a zeszły się gromady z łopatami i wysypali mu ten kopiec, co go zewsząd widać i co się nazywa *Mogiła Krakusa*; i świat przeminie, a kopiec jak stał i stoi, tak będzie stał. I do dziśdnia różne państwo jedzie przypatrywać się, jak to mogli ludzie taką górę wysypać i co tam fur ziemi wlazło.

Józef. Ha, i słusznie zrobili nasi przodkowie, bo jak dobre panosko, to nie żal mu tam zrobić grzeczność.

Onufry. Oczywiście. A potem cóż tam o tę świętą ziemią, nic nie kosztowała, tylko o dnie, co ich musiało wyjść na każdą gromadę po kilka tysięcy.

Józef. Ej, bajecie, wyszło kroć tysięcy na każdą gromadę.

Stanisław. Jak umarł Krakus, tak syn jego objął rządy, a nazywał się Lech IIgi (bo już był Lech pierwszy). Myśleli ludzie, że taki będzie jak ojciec. Ale gdzie tam, ani się do niego umył, bo zamiast krajem rządzić, to z bratem swoim się swarzył; podszedł go i na polowaniu zabił. Tak też naród powiedział, iż nie chce takiego mieć za pana; i zebrali się starsi, a pięknie mu powiedzieli, aby z Polski umykał. Co tu robić?... podobnego jakoś do rządu nie było, więc naród się zebrał i radzi. Wtem się jeden odzywa: „Nie tylko człek ma ojca, ale też ma i matkę, a jak pomrze, to matka rządzi. Sprobujmy wziąć córkę Krakusa, kiedy nam się syn jego nie udał. Dopiero cały naród krzyknął: „Zgoda, niech panuje córka naszego Krakusa Wanda!“ Poszli tedy starsi do niej i skłoniwszy się do nóg rzekli: „Najjaśniejsza księżno! posyła nas tu do ciebie naród z tém słowem, abyś jako córka naszego pana, nami rządziła. Chociaż jesteś słaba kobieta, to my ci będziemy dopomagać w radzie, a w turbacyach znajdziesz w nas pomoc.“ Na to Wanda odpowiedziała: „Jakże ja wami mam rządzić, kiedy ja młoda i słaba dziewica, a tu wojna za pasem. Niemcy zazdroszczą nam ziemi i włażą nam do kraju. Jednak skoro naród sobie życzy, to się od tego nie wymawiam i szczęście narodu nad wszystko szacować będę.“ Dopiero jak wyszli starsi i dali znak, więc wszystkie trąby i rogi zatrąbiły na wiwat i ogłosili Wandę księżną Polską. Ale moi kochani, aż mi się na płacz zbiera, co wam powiem, że nie długo było tej uciechy. Oj nie długo, ale długa po niej żałoba. Gorzej się teraz stało, jak ze smokiem.

Józef. No gadajcież, bośmy bardzo ciekawi.

Stanisław (ocierając łzy). Jak Wanda już została księżną polską, tak przyjechało książe niemieckie obaczyć ją, bo miała być bardzo piękną i urodziwą. Oczy miała niebieskie jak turkaweczka, a włosy jakby ze złota i gębę miała jak poziomkę i w sobie była podufała. Jak ją tylko ów książe niemiecki, (co mu było na przezwisko Rytygierz) raz ujrzał, tak zaraz sobie do głowy przybrał, że jego będzie i jego będzie. Więc się jej zaczął zalecać, ale ona nijak go nie chciała, Otóż to książę niemieckie tak się do niej zapaliło, że tak raz powiada: „Słuchajno moja panienko, ja cię tak bardzo ukochał, że

albo musisz być moją żoną, albo na twój naród sprowadzę moje wojsko, i ludzi wybiorę do imienia i domostwa popalę, i nie zostanie już kamień na kamieniu.“

Otóż owa księżna Wanda tak się wylękła, iż mu nic nie odrzekła, ani siak, ani tak, ale sobie umyśliła, że woli śmierć, jak iść za tego, którego nie kochała, lub też znowu narażać naród na nieszczęścia. Cóż więc uczyniła? Oto nieboraczka nazajutrz dodnia ubrała się bieluśko jak anioł, i wyszła z komnaty, tak, że jej nikt nie widział, i z mostu na Wiśle rzuciła się w rzekę i tylko raz się nad wodą pokazała, a potem poszła na dno, aż się zawadziła pod mogiłą. Tam rybacy sieć na ryby zapuszczali i widzą, że się coś bieli; zaciągają, a tu Wanda, najjaśniejsza księżniczka!.. Narobili gwałtu, lamentu, cała wieś się zbiegła; posłali do Krakowa, a księżniczkę na piasku tarzają i trzeźwią, ale na próżno, bo już z kretesem umarła i ani tchu nie puściła. Dopiero to był płacz w całym narodzie za taką dziéwę, co takiej poszukać w całym świecie. Dworscy ledwie się gdzie z żalu nie zapodzieli, książę niemieckie, widząc, że i tak nic nie wskóra, bo się jego wojsko bić nie chciało, a nasi się przez mściwość zażarli, poszedł do swego kraju i medytował, że cóż to i za dziewka taka, że nim pogardziła, a wolała się utopić, jak iść za niego. Ale tak ci jest, że do kochania nikt nie przymusi.

Onufry. Oj, szkoda takiej panny! ale po co się było topić? tylko było brewiter powiedzieć, że cię nie chce i kwita!

Józef. Przecieżeście słyszeli, że go nie chciała, ale bała się o naród, żeby go wojsko nie traciło, jakby się była armija zwaliła. Bo milszym jej był naród, jak własne jej życie.

Stanisław. Ale co już zrobiła, to się stało, dość na tem, że znowu naród uradził, aby jej też mogiłę usypać trochę opodal tego miejsca, gdzie ją rybacy znaleźli. Dopiero jak się rzucą parobcy i dziewuchy, to żadnego starego nie dopuścili, tylko sami kopali a nosili ziemię na plecach i na wózkach, aż ten ogromny kopiec usypali, co się nazywa mogiłą *Wandy*. Mówią starzy ludzie, iż się tam czasem pokazuje cała w bieli i żałośnie śpiewa, a pastuchy ją widywali, jak kwiatki po polu zbierała, ale jak tylko kto nadchodził, tak znikała.

Onufry. Jabym się strasznie bał widzieć ją po śmierci.

Józef. A ja zaś niebym się nie bał tej panny. Lecz mówcież, jak było dalej:

Stanisław. Jak się Wanda utopiła, tak z Krakusa rodziny już nie było czem trząsnąć; zostali dalsi krewni.

Więc znowu zeszli się starsi na radę i postanowili dwunastu wojewodów do rządu. Dopiero ni ztąd ni zowąd, zjawił się taki człowiek, co się zwał Przemysławem, a potem go przezwali Leszkiem pierwszym. On był po prostu rzemieślnikiem złotniczym, ale i głowę miał tęgą, i jedyny był do wojny. A że na Polskę znowu od Moraw i od strony Węgierskiej nieprzyjaciel wyruszył, przeto ów Przemysław, czy tam Leszek pierwszy, dalej na niego i precz ich odpędził, aż tam gdzieś pod Wrocław. Ale i on wkrótce umarł, i znowu nie było pana. Co tu robić i zkąd tu dobrać zucha?... Rada w radę, tak uradzono, aby na koniach ścigali się rycerze, i aby ten został rządcą kraju, który drugich prześcignie. Ale cóż stało?... Oto znalazł się jeden zdrajca, który sztuką chciał drugich podejść, a gwoździ na drogę posypał, piaskiem je pokrył, a sam sobie wolną ścieszkę zostawił, i był pewnym, że najprzód do końca dobiegnie, a inne konie pokulawieją. Był on mądry, ale się znalazł nad niego jeszcze mędrszy, bo to wszystko przewidział i tak sobie konia kazał okuć, iż pod całem kopytem była blacha. Więc dobrze! Jak się mości panku puszczą na koniach, a ten miał tęgą szkapę, więc wszystkich prześcignął i został władcą Polski. Ten książe nazywał się Leszek, a miał też syna, co mu było Leszek trzeci. Byłci ten syn dobry do wojny, ale okrutny, bo jak jednego króla, co mu było Krassus, zawojował, tak mu kazał lać w gardło topione złoto, a dogadywał mu: „Kiedy ci się zachciało naszego złota, to pijże go teraz.“

Józef. Ej to nie dobrze, bo nigdy nie wypada mścić się na powalonym; ja jakem się bił z Antkiem, tośmy się mordowali na śmierć, ale gdy go tylko na ziemię obaliłem, to jużem mu nic więcej nie mówił. Powiedziałem mu tylko: „masz, czegoś chciał.“

Onufry. I mnie się to nie podoba. Jabym już takiego na króla nie wybrał, bo przecież nad

bliźnim trzeba mieć politowanie. Gdyby mu był wsypał piątkę albo dziesiątkę, iżby sobie popamiętał, toby uszło!

Stanisław. Ten król Leszek miał aż dwudziestu synów, więc chciał też każdemu dać po kawałku gruntu i podzielił kraj między nich i poprzezywał ich: to hrabiami, to margrabiami na niemiecką modę; ale zpomiędzy nich był jeden, co mu się dostało Gniezno, a był mądry i wszystkich braci wziął pod moc swoję. Nazywał się ten książe Popiel, a miał też syna, co się też mianował Popiel II, i jemu cały kraj w zarząd oddał.

Onufry. Patrzajcie! To i my jeszcze mamy Popielów. Jeden w Kurozwękach, a znowu brat jego siedzi tam gdzieś w Podlaskiem w Turnej.

Józef. I ja znałem nie jednego Popiela, ale dobrzy panowie, to oni muszą z tamtych pochodzić.

Stanisław. A może tam i pochodzą, bo kiedy wszyscy ludzie z jednego rodzica Adama pochodzą, to dlaczegożby te nasze Popiele nie mieli być tamtych krewniakami? Ale będę wam dopiero teraz ciekawą rzecz opowiadł, tylko sobie odpocznę, a przypomnę, jak to było, aby zaś w czem nie skłamał.

Józef. Oj, moiściewy! Gadajcież też ciekawości; już wam kwartę miodu kupię, byleście też opowiadali, jak to było, bo człek głupi nic nie wie, i z kądże ma co wiedzieć?...

Stanisław. Bóg miłosierny upodobał sobie w narodzie naszym, ale o to tylko chodziło, iż wiara święta u nas nie panowała, ale sobie ludek zmyślał różnych cudaków, którym cześć bożą oddawał. I tak Lelum Polelum, to miał być nad polami, a Swistum Poświstum nad wiatrami, i tak plotło im się jak na mękach. Dopiero Pan Bóg litościwy posłał dwóch aniołów z nieba, iżby przepatrzyli, jak tam co jest w tej Polsce, a wyszukali człowieka jak się patrzy, którybyna coś się przydał. Aniołowie przebrali się za podróżnych i najprzód poszli do księcia Popiela jako gospodarza całego kraju. Ale ten książe nie był rad podróżnym i ani ich nie kazał przed siebie stawić, ani ich też na wieczerzę zaprosić, tylko ich z niczem odprawił. Więc oni dowiedziawszy się, że tam jest kołodziej nazwiskiem *Piast,* dobry i uczciwy człowiek, poszli do niego; aliżci zaraz Piast i żona jego wyszli przed dom na ich spotkanie, a prosili do izby, mówiąc, iż sobie mają za wielkie szczęście, iż im goście przybywają w dzień postrzyżyn syna, to jest w taki dzień uroczysty, co był jakby u nas chrzest dziecka. Aniołowie usiedli sobie pięknie, pojedli i prosili, aby synowi było na imie Ziemiowit (co znaczy władcę ziemi), a obiecali Piastowi, że on i jego rodzina znajdzie łaskę u Pana Boga i u narodu. Piast zwyczajnie jako ubogi chłop i majster wiejski, nie miał też wielkiego majątku i zafrasował się, bo na tyle gości kupił tylko miarkę miodu i zabił jedno prosię. Aniołowie to spostrzegli i uprosili u Pana Boga cud, że z owej miarki miodu przyczynił Pan Bóg tyle, iż wszystkie naczynia były pełne, a jak prosię pokrajali, tak ceber mięsiwa narosło. Dopiero zaczęli używać i zajadać a popijać. Piast się rozochocił i samego księcia Popiela na wieczerzę zaprosił. Książę przyszło, pojadło i wróciło do siebie, a inni goście do ranka się zabawiali, tylko przed północkiem owi podróżni (aniołowie) znikli, tak, że nikt nie wiedział, ani kiedy, ani którędy wyszli. Na tej wieczerzy był też młody książe Popiel i stryjowie jego a bracia ojca. Jak ów młody książe podpił, tak żona jego tak mu do ucha mówi: „Słuchajno mój mężu! widzisz ty, jak się to stryjowie twoi rozpierają? Oni gotowi odebrać nam królestwo i pod siebie wszystko zagarnąć, a nas z kwitkiem puścić.“ Tak książe pyta się swej żony, jakby mu w tem począć doradzała? „O to fracha (rzecze jego żona). Udaj chorego i sproś ich do Kruszwicy, a tam ich co do nogi wytępimy i ty się sam najwyższym zostaniesz.“ Książe, co nie powinien był słuchać żony, tylko mieć swój rozum, uwierzył jakby Adam Ewie i wszystkich krewnych sprosił, a tam ich zamordować kazał, a do jamy ciała ich powrzucać. Ale ż Bóg tak zrobił, że z owych trupów wyrodziło się tyle myszy i szczurów, że co tylko było, to jadły, a potem zaczęły się i ludzi chwytać. „Oj źle moja żono, (rzekł książe) kiepskoś mi poradziła. Nie trzeba było stryjów zabijać, bo się z tegot yle gadu wyrodziło. Teraz nie ma co robić, tylko trzeba jechać z dziećmi na wyspę, która jest wśrodku jeziora Gopła, a tam nas myszy nie znajdą.“ Zabrali się więc i pojechali, ale gdzież kara Boża nie dosięgnie? Nikt się

przed Bogiem nie skryje, więc też całe gromady szczurów i myszy za Popielami poszły wpław, i doścignęły ich na wyspie, a z kretesem wszystkich pojadły, tak, że się z nich ani kości nie zostało.

Józef. Oj ciekawości opowiadacie i straszne mówię historyje, coby im nikt nawet nie uwierzył, ale wam godna wiara.

Stanisław. Przecież na własne oczy książkę drukowaną, co o tem pisze, czytałem, a kiedybyście jeno chcieli, tobym wam na przekonanie tę książkę przyniósł.

Onufry. Ale kiedy dajemy temu wiarę, bo u Pana Boga nie jest nic niepodobnego. Ale mnie się znowu bardziej gadanie o kołodzieju o miodzie podoba. Teraz to nikomu miodu w naczyniu nie przybędzie i jeszcze żyd kwarty nawet choć mu je zapłacisz, nie domierzy.

Stanisław. Może na tę niedzielę już będzie dość tych historyj?

Józef. Kiedy jeszcze wczas, słonko nie zaszło, a parobcy z pola koni nie przygnali; gadajcież jeszcze o tym kołodzieju, co mu to było Piast.

Stanisław. Jestci co o nim mówić, bo co aniołowie przyrzekli, to się też stało!!.. Jak myszy zjadły Popielów, tak znowu w kraju nie było gospodarza, a już naród nie chciał więcej dwunastu wojewodów, tylko jednego, coby rozsądzał wedle sprawiedliwości. Zebrało się więc kupa ludu do Kruszwicy, radząc, kogoby wybrać?... Nie kogo (prawią starsi) tylko Piasta kołodzieja, który jest uczciwy i nad niego uczciwszego nie ma. Pan Bóg więc tak dopuścił, iż jego wybrano, bo chciał Bóg naród nasz zbawić; a domyślają się, że się Piast już potajemnie ochrzcił, gdyż jak był proszony w Morawach do księcia Światopełka na wieczerzę, (zwyczajnie jako sąsiad) to usiadł sobie za stołem już jako chrześcianin, a Borzywój książę Czeskie siedziało jako poganin na ziemi. Piast długo Polską zarządzał, aż później, gdy go już Bóg niemocą nawiedził tak, że sam już pracy podołać nie mógł, zdał więc rządy na syna Ziemowita, którego już aniołowie przy postrzyżynach tajemnie i bez jego wiedzy ochrzcili. Ale też niedługo potem zmarło się i Ziemowitowi, i znowu był książęciem Leszek. Po nim przyszedł syn jego Ziemomysł, i dobre było panosko, ale zawsze lamentował, iż syn jego jedyny Mieczysław urodził się ślepym i nic nie widział. „Szkoda mowi chłopięcia, bo gładki na gębie i w sobie krępy, a byłby na mojem miejscu do rządu, ale cóż kiedy ślepy! Powiadają (prawi on) że Bóg chrześcian to wzrok przywraca, i gdyby tak było, tobym mu palił ofiary.“ Gdy tak medytuje ów biedny książe Ziemomysł, dworscy mu mówią, iżby czas było synowi sprawić postrzyżyny. Tak książe na to odpowiada:„ Dobrze moi kochani ludkowie, ale postrzyżyny na ślepotę mu nie pomogą.“ Tym czasem jeden ze sług książęcych, który był chrześcianinem, skłoniwszy się, tak do księcia rzecze: „Najjaśniejszy książe! w mocy ludzkiej nie jest z kalectwa takiego wyratować, ale Bóg jako stwórca wszelkiego stworzenia, wszystkiemu potrafić może.“ Książe zaś na to tak powiedział swemu wiernemu słudze: „Gdyby się tak stało, więcby mój syn służył temu Bogu, któryby go z kalectwa wybawił. Niech więc będą sproszeni do Gniezna wszyscy goście, jacy jeno są ludzie sprawiedliwi w narodzie na postrzyżyny mego syna, który kończy siedm lat, i niech otrębują z wieży, a obwołują po drogach, że się ten obrządek odbędzie.“ Słudzy się pokłonili i rozkaz swego pana dokonali, a całe miasto Gniezno było pełne gości. Przyszedł czas postrzyżyn, i zaledwie owemu książęcemu chłopięciu obcięto włosy, a odrazu na oba oczy cudownie przejrzał. Ojciec ledwo nie stracił rozumu z radości, a dworzanie i cały lud się zdumiewał. Książe kazało zaraz zabić tucznych wołów i baranów dla gości i naznosić miodu beczkami, aby się lud ucieszył, a razem dał rozkaz, aby ofiary palić tym cudakom pogańskim bożkom. Ale ów dworak, co był chrześcianinem, przybliżył się do księcia i do ucha mu szepce: „Najjaśniejszy monarcho (rzecze), to nie twoi bogowie tej sztuki dokazali, bo oni oślepić umieją, ale oczu na światło otworzyć nie umieją; tylko to zrobił Bóg chrześcian *Jezus Chrystus* w swem miłosierdziu, i aby cię o mocy swej przekonał; a więc coś przyrzekł, to teraz dotrzymaj, i niech syn twój temu Bogu służy, który go od wiecznej ślepoty wybawił.“ Książe zaczął medytować, ale w końcu rzekł: „Com obiecał, to dotrzymam, i kiedy mój Mieszko doznał takiej łaski od waszego Boga, to niechaj mu służy, ale jeszcze teraz o tem nie gadaj, aż dorośnie i będzie przy

władzy, a tymczasem ucz go poznawać waszego Boga, a i ja się temu przysłuchiwać będę. Tak się więc stało, a co później nastąpiło, to wam już kiedyindziej opowiem, bo już przedzwonili na Anioł Pański; trzeba pozdrowić Stwórcę nieba i ziemi i rozejść się do domu, bo jutro robota nas w polu czeka.

Przemówienie Franciszka Koczuli, majstra ciesielskiego, przy uroczystości uwieńczenia wiązania dachowego na wzniesionej nowej świątyni w Częstochowie.

—

Pismo nasze podając pierwsze wiadomości o zgromadzeniu PP. Marjawitek w Częstochowie, oraz o niedogodnościach dotychczasowego ich pomieszczenia, przyczyniło się niemało, śmiemy sobie pochlebiać, do ułatwienia kwesty na budowę nowej świątyni, i zjednania na ten cel licznych ofiar z najdalszych nawet okolic Polskiej ziemi hojnie płynących. Z niemałem też zadowoleniem przychodzi nam oznajmić dziś czytelnikom naszym, iż przedsięwzięcie to, za niepodobne do spełnienia na razie poczytywane, o tyle już jest posunięte, iż względem pomyślnego jego ukończenia żadnej nie można mieć obawy. Mury nowej świątyni poświęconej czci Boga-Rodzicy, oraz część gmachu klasztornego wznosząc się szybko, w ciągu ubiegłego lata, przejmowały słodkiem uczuciem czcicieli Maryi. Kierujący robotami budowniczy Kaliszewski, pragnąc pokryć je przed zimą dachem, ażeby od uszkodzenia zabezpieczyć, pośpieszał ze swem dziełem, silnie w tem wspomagany przez rozmaitych rzemieślników i robotników do budowy użytych. Starania jego nie były daremne, już bowiem na dniu 20 września r. b zatknięty został wieniec na ukończonem wiązaniu dachowem wznoszącego się kościoła.

Wiadomo wam zapewne, iż podobne uwieńczenia nie odbywają się bez pewnych uroczystych form, tem więcej, gdy uwieńczoną budowlą jest świątynia Pańska. Jakoż ważny ten akt poprzedziło solenne nabożeństwo odprawione w kościołku Śgo Jakóba, wobec całego zgromadzenia pp. Marjawitek, wychowanek klasztoru, majstrów, czeladzi, pomocników i licznie zebranej publiczności, na intencyę wszystkich dobroczyńców, którzy ofiarami swemi do wzniesienia tej budowy przyczynili się. Poczem wieniec poświęcony przez kapłana, niesiony był przez trzy wychowanki zakonu ubrane w bieli, w asystencyi zgromadzonego pobożnego ludu na plac budowy, gdzie przez świątecznie przybranych rzemieślników zawieszony został na krzyżu, na szczycie kościoła umieszczonym.

Poczem kierujący robotami ciesielskiemi, majster Franciszek Koczula, przejęty ważnością spełnionego aktu, przemówił do zgromadzonego ludu rzemieślników i robotników, w te słowa:

„*Szanowne i czcigodne zgromadzenie!*

Macie tu przed oczami ukończone wiązanie dachowe na tej świątyni Pańskiej, wznoszące się na cześć *Serca Maryi* Boga Rodzicielki, a krzyż uwieńczony zatknięty na szczycie, jest niejako koroną dokończonej przez nas pracy. Niejeden przy rozpoczęciu tej budowy powątpiewał, nie spodziewając się odpowiednich funduszów, o dokonaniu tak wielkiego dzieła. Ja jako naoczny świadek i współpracownik, oświadczyć mogę, ile przedsiębierczyni tego dzieła Przewielebna Paulina Jellec przełożona klasztoru PP. Marjawitek użyła pracy, zabiegów i trosk, za nim ta budowa do tego stanu doprowadzoną została. Lecz na szczęście i pociechę jej i naszą, Bóg dobrotliwy nie odmówił swej łaski i pomocy, natchnąwszy serca prawowiernych i pobożnych chrześcian, którzy widząc, na jaki cel ta wspaniała budowa powstaje, szczerem sercem pośpieszyli z datkami i pomocą, na tak szlachetny i Bogu miły użytek; bo kto pokłada ufność w łasce i dobroci Boga, ten nie na piasku, lecz na stałej buduje opoce, i może być pewnym najwyższej Jego pomocy. Dlatego niepłonną mamy nadzieję, że niezadługo całe to dzieło przy pomocy Najwyższego ukończonem ujrzymy.

Na ten czas zwoływać nas będzie ze szczytu tej świątyni uroczysty głos dzwonu do pobożnych modłów i w tym wznoszącym się przybytku nasze dziękczynne pienia przy poważnym brzmieniu organów wznosić się będą do niebios. Tu ze skruchą słuchać będziemy nauczającego i pocieszającego słowa Bożego.

Tu niejedna opuszczona sierota znajdzie przytułek, naukę i utwierdzenie w wierze

świętej. Tu niejedna nieszczęśliwa istota otrze łzy swoje, znajdując opiekę, pomoc i pociechę w utrapieniach, a nawet i ten, który już zwątpił o swem szczęściu, przygnieciony i znękany troskami i niedolą, znajdzie w tym świętym przybytku ulgę w swych cierpieniach, i pomoc duchowną na łożu śmierci.

Wznieśmy więc szczere i pobożne modły do Tego, od którego wszelkie dobro i pomyślność pochodzi, aby użyczył tej świątyni swego błogosławieństwa i opieki, aby przetrwała wiele wieków, aby ją chronił od nieprzyjaciół, burzy i ognia, i aby szczere modły tych, którzy się tu zgromadzać będą, wysłuchanemi zostały.

Następnie podziękowawszy tym wszystkim, którzy w wzniesieniu świątyni jakikolwiek udział przyjęli, tak zakończył:

Dziękuję wam kochani koledzy, majstrowie, czeladź i pomocnicy, za tak ściśle i akuratnie dopełnianą robotę, a zarazem spodziewam się, że zrówną pilnością i akuratnością pracować będziecie aż do ukończenia całego dzieła, za co prócz wynagrodzenia, jakie pobieracie, zasłużycie sobie na daleko większą nagrodę w przyszłem życiu u Stwórcy wszech rzeczy, za przyczyną Tej, na której cześć tę wznosimy budowę.

Wznieśmy zatem szczere i pobożne modły do Przedwiecznego i do Najświętszej Boga-Rodzicy, której sercu ten przybytek poświęconym został, aby i nadal nie odmawiali swego błogosławieństwa rozpoczętej budowie, na którą serca pobożnych oby aż do wykonania całego dzieła, swej pomocy i ofiar udzielać nie przestawały.“

Alexy Wolarz.

—

Ubogi kmiotek parafii Kazimierskiej w Lubelskiem, żył on jeszcze za Zygmunta IIIgo krola Polskiego. Wspomnienie jego przekazało potomności książka pod tytułem: Obraz wieku Zygmunta IIIgo, które mieści w sobie zbiór ludzi wsławionych pod panowaniem króla tego, cnotą, nauką i męztwem. I Alexy znalazł tam miejsce i zasiadł swobodnie między książętami, kanclerzami, hetmanami, biskupami i arcybiskupami, a ten zaszczyt dało mu pilne pełnienie obowiązków stanu swego, nieskażona niczem cnota, z poddaniem znoszenie trosk życia. Zmarł on roku 1592 dnia 30 września z zarazy panującej wówczas w Polsce; ma nagrobek w parafialnym kościele z wierszem łacińskim, który w po polsku tak brzmi:

Wolarz Alexy zaległ miejsce tej mogiły,
Co póki wątłe życia starczyły mu siły,
Pilny w swych obowiązkach, cierpliwy w niedoli,
Postępkami strzegł cnoty, a pracą swej roli.
Zmarł z zarazy po zbiorze żniwa swej zagrody,
Spiesząc po żniwo wiecznej w niebiesiech nagrody.
Kmiotku każdy! byś tak żył, los twój byłby błogi.
Zajrzećby ci go mogły i ziemskie półbogi.

Doniesienie o otwartej praktyce

W okręgu Warszawskim.

Dobra Młociny, przy cieśli Tomaszu Leporini, potrzeba czterech praktykantów pod następującemi warunkami:

1) Praktykant powinien mieć 15 lat skończonych.

2) Jako wynagrodzenie za stół, stancyę, opranie i naukę, praktykanci zupełnie z ciesielstwem nie obeznani, opłacać winni po 45 złp. miesięcznie. Gdy się roboty poduczą, lub też gdyby wyćwiczeni w tem rzemiośle dla dokończenia tylko na praktykę oddani zostali, wtedy opłata wynosić będzie tylko złp. 15 na miesiąc.

3) Oprócz dokładania wszelkiej usilności, aby oddani na praktykę uczniowie, jak najlepiej doskonalili się w obranem przez nich rzemiośle, p. Leporini zwracać będzie baczną uwagę na prowadzenie się takowych, oraz nakłaniać ich, aby o ile to będzie można, przykładali się do elementarnych przynajmniej nauk.

(z Roczników Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem)

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 1 (13) stycznia 1861 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*